

Wystąpienie doktora *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego sędziego Jacka Gudowskiego w dniu 20 marca 2025 r. w auli w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego*

Magnificencjo Rektorze, Prześwietny Senacie, Czcigodne Grono Profesorskie, Państwo Dziekani, Prodziekani, Zacny Laudatorze i Łaskawi Recenzenci, Szlachetni Sędziowie Sądu Najwyższego, sądów powszechnych i administracyjnych, Szacowna Palestro, Wszyscy Dostojni Goście, Moi Najbliżsi, Rodzino i Przyjaciele!

Będzie mi bardzo trudno ukryć wielkie onieśmienie tym chlubnym wyróżnieniem, którym zostałem przed chwilą zaszczycony przez moją umiłowaną *Almae Matris*. Wybacz Matko Żywicielko swojemu synowi, który po latach tułaczki, oszołomiony i przywabiony tą najwyższą godnością, staje u progu Twojego domu. To najpiękniejsze wyróżnienie, które mogło mnie w życiu spotkać, tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, ulgowy – jak go w akademickiej retoryce ongiś określano – przyznawany – jak stoi w starych dokumentach – „z dyspensą od formalności”, a przeze mnie traktowany jako wielce łaskawy, przyjąłem z nieukrywaną satysfakcją.

Bardzo, bardzo serdecznie i szczerze dziękuję! Przede wszystkim Prześwietnemu Senatowi, Panom Rektorom – Magnificencji profesorowi Piotrowi Jedynakowi oraz profesorowi Jackowi Popielowi, prorektorom, dziekanom, profesorom, doktorom i wszystkim członkom Senatu. Dziękuję wymagającemu Konwentowi Godności Honorowych, senatom uniwersytetów im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, a także nader życzliwym recenzentom, wybitnym profesorom tych uczelni, Pawłowi Grzegorzcykowi, sędziemu Sądu Najwyższego, i Andrzejowi Jakubeckiemu, sędziemu Trybunału Konstytucyjnego, bezprawnie odartemu z tej godności podczas pamiętnej grudniowej nocy roku 2015.

Dziękuję Radzie Wydziału Prawa i Administracji, a w szczególności promotorowi, profesorowi Jerzemu Pisulińskiemu, laudatorowi, który wygłosił jakże niezasłużoną pochwałę skromnego jurysty, dzisiejszego kauzanta. Szanowny Dziekanie, Panie Profesorze, bardzo dziękuję. Dziękuję także bardzo serdecznie, życząc wielu sukcesów na początku nowej

* Tekst jest dostępny na licencji Creative Commons CC BY-NC-ND 4.0.

Tekst autoryzowany. Pierwotna publikacja: https://www.uj.edu.pl/wiadomosci/-/journal_content/56_INSTANCE_d82lKZvhit4m/10172/158223123.

uniwersyteckiej misji, Panu Dziekanowi profesorowi Piotrowi Doboszowi, który uroczystie wygłosił wzniosłe *verba diplomae* oraz przypiął do mojego ramienia symboliczne epitogium.

Dziękując Radzie Wydziału, muszę ze szczególną wdzięcznością wspomnieć szacownych sygnatariuszy wniosku o nadanie mi tytułu, znamienitych profesorów, a obok nich, spoglądającego z ukosa na otaczającą nas rzeczywistość swym sprawczym, krytycznym, senioralnym okiem, mojego przyjaciela, protektora i benefaktora, Profesora Stanisława Biernata. Panowie, Staszku! Wielkie dzięki!

Dziękuję wszystkim także, a może przede wszystkim za to, że zechcieliście zwrócić swoje oczy w stronę Sądu Najwyższego, tego prawdziwego, błyszczącego *iudices puros*, najwyższego swoją najwyższością oraz konstytucyjną, judykacyjną czystością i godnością. Dzisiaj, w okresie wielkiej pożogi, która nie ustępuje, to bardzo ważny i szlachetny gest, a obdarzenie mnie zaszczytnym tytułem m.in. za „budowanie autorytetu Sądu Najwyższego i zaufania do wymiaru sprawiedliwości” jest czytelnym znakiem uznania Akademii Krakowskiej dla wszystkich sędziów tego Sądu. Powtarzam jednak i akcentuję, bo to dzisiaj wciąż konieczne – **sędziów!**

Chwała Wam sędziowie za to, co od z górą siedmiu już lat z wielkim poświęceniem czynicie; z poświęceniem dla prawa, dla Konstytucji, dla demokracji, dla sądownictwa, dla Rzeczypospolitej. Za to także, co czyniliście – czyniliśmy wspólnie – wcześniej, gdy Sąd Najwyższy, od chwili jego odnowienia w 1990 roku, cieszył się zasłużonym szacunkiem i był zaliczany do najlepszych, najsprawniejszych w działaniu sądów najwyższych w Europie. To wielka zasługa wszystkich, z pierwszymi pośród nas na czele – z profesorem Adamem Strzemboszem, niedawnym laureatem uniwersyteckiego złotego medalu „Plus ratio quam vis”, który nie mógł przybyć, ale z którym odbyłem serdeczną, krzepiącą dla mnie rozmowę, z profesorem Lechem Gardockim – z żalem zawiadomił mnie o niemożności przyjazdu – ze śp. Stanisławem Dąbrowskim – nisko kłaniam się Wdowie Teresie Dąbrowskiej – oraz z profesor Małgorzatą Gersdorf, ofiarną bohaterką obrony Sądu Najwyższego przed barbarzyńskim, antykonstytucyjnym atakiem. Chojnie dzielić się z Wami tym moim dzisiejszym zaszczytem.

Chwała również wszystkim sędziom sądów powszechnych – jeszcze raz powtarzam: **sędziom!** – którzy z determinacją i wytrwałością, ponosząc niejedną, nierzadko osobistą ofiarę, oparli się autorytarnemu, a nawet despotycznemu zamachowi na Konstytucję, na władzę sądowniczą, na sędziów. Wielu z Was widzę tu na sali: profesora Krystiana Markiewicza, Waldemara Żurka, doktora Macieja Ferka, Bartłomieja Przymusińskiego, Annę Głowacką, Beatę Morawiec i innych. Chwała wszystkim. Nie pozwólmy zmarnotrawić Waszego bohaterstwa, niezłomności i ofiarności. Dzięki Waszemu oporowi przetrwała demokracja, dzięki Wam Polska odżyła. Ale czy ktoś o tym jeszcze dzisiaj pamięta? Docenia? Oddaje zasługi? Czy ktoś martwi się tym, że na niemal osiem lat utraciliście prawo do sędziowskiego rozwoju i awansu? Że niektórzy musieli odejść w stan spoczynku, bo nie było i nadal nie ma organu, który mógłby przedłużyć Waszą służbę? Czy w Waszej sprawie wypowiedziała się – eksponując zasadę proporcjonalności i inne wzniosłe hasła – jakaś ważna, międzynarodowa komisja? Moje Drogie Koleżanki i Koledzy, niech więc to wielkie święto Uniwersytetu Jagiellońskiego będzie także Waszym świętem.

Szczególnie dziękuję wszystkim życzliwym mi procesualistom cywilnym, a nade wszystko Prezesowi Profesorowi Tadeuszowi Erecińskiemu, współtwórcy potęgi Sądu Najwyższego, bez którego by mnie tutaj dzisiaj na pewno nie było. Skupił wokół siebie i wychował liczną grupę wybitnych procesualistów, a także znamienitych sędziów cywilistów, w których gronie miałem szczęście się znaleźć. Dzisiejszy dzień to przecież również święto procesu cywilnego, nauki pięknej i twórczej, przed którą – w postklasycznej epoce proceduralizacji prawa – otwierają się coraz szersze możliwości. Kłaniam się także seniorowi profesorowi Feliksowi Zedlerowi. Chwała procesowi cywilnemu i wszystkim jego heroldom!

Z uznaniem spoglądam w stronę palestry – tych jej przedstawicieli, którzy z wielkim zaangażowaniem wsparli sądownictwo oraz sędziów w nierównej walce z antykonstytucyjną napaścią. Są dzisiaj z nami. Ostoja krakowskiej palestry mecenas Stanisław Kłys, przyjaciel, noszący dumnie tytuł „mecenas” także w jego pierwotnym znaczeniu – protektor poetów, a zwłaszcza poetów muzyki. Także przecież mecenas i dobroczyńca Uniwersytetu... Jest również mecenas profesor Michał Romanowski, który z poświęceniem i godną najwyższego uznania determinacją stanął – i wciąż stoi – u boku sędziów poniewieranych przez „dobrą zmianę”. Chylę czoła przed profesurą i nauką, tym jej odłamek, który pozwolił mi zachować wiarę w rozum oraz utrwalić przesłanie prawdy i przyzwoitości.

Swoje nieocenione zasługi ma także Wydawnictwo Wolters Kluwer Polska, które zadziwiająco ochoczo upowszechniało moje „iurismagorie”, życzliwie określone w uchwale Senatu jako „twórczy i oryginalny wkład do nauki prawa i postępowania cywilnego”. Dziękuję uprzejmie Prezesowi Włodzimierzowi Albinowi oraz Jego nieocenionym współpracownikom i współpracownikom, wywodzącym się także z przejętego ongiś przyjaźnie Wydawnictwa LexisNexis.

Dzisiejszym wielkim zaszczytem cieszę się oczywiście z moimi bliskimi, z przyjaciółmi i kolegami, a nade wszystko z Beata, z Rodziną. Wiele Wam zawdzięczam i jestem ogromnie rad, że kolejne pokolenia naszej rodziny – Katarzyna, Maria, Jan, Justyna – właśnie w prawie znaleźli sens swojego zawodowego życia. Z czułością wspominam oczywiście Oboje Rodziców. Byliby dumni, a zwłaszcza Tata, który pobudzał we mnie feblik do Uniwersytetu.

Mieszkaliśmy niedaleko, przy ul. św. Geretrudy – wtedy Waryńskiego – a potem przy Bogusławskiego. Blisko... Tata często zabierał mnie małego w okolice Plant, na Gołębią, a co roku, w listopadzie, nie ukrywam, trochę przy użyciu rodzicielskiej przemocy, bo wtedy jeszcze nie potrafiłem docenić, dokąd Tata mnie zabiera, siedłem z Nim na obchody rocznicy *Sonderaktion Krakau*. To nie był jeszcze czczony dzisiaj z wielkim pietyzmem Uniwersytecki Dzień Pamięci; zwykła, skromna uroczystość, tu, w tym gmachu, w sali 56. Siedziałem jak trusia. Kto wie, może po raz pierwszy spotkałem wtedy profesorów Jana Gwiazdomorskiego i Władysława Woltera? Byli ofiarami tego zamachu na polską inteligencję i zapewne nie opuszczali jego rocznic. To były moje pierwsze kontakty z Uniwersytetem.

Potem był Nowodworek – od kilku wieków wrota do uniwersyteckiej przyszłości – a po nim studia, naznaczone na samym początku brunatnym kolorem marca 1968 roku. Minęły bardzo szybko i nie będę do nich wracał, choć byłoby o czym opowiadać, nie mogę jednak oprzeć się wspomnieniu, które wraca zawsze, ilekroć przechodzę tędy, Plantami, spoglądam na neogotycką fasadę Collegium Novum albo zaglądam do uniwersyteckiego westybulu; wspomnieniu, które wyostrza się dzisiaj, w dniu dla mnie tak ważnym.

Jest czerwiec 1971 roku – uroczyste zakończenie studiów. Tutaj, w auli, pełni wzruszenia, w towarzystwie naszych nauczycieli, słuchamy „pożegnального” wykładu prodziekana profesora Józefa Skąpskiego. Kwiaty, podziękowania, uśmiechy. Potem schodzimy na dół, grupujemy się przed bramą, na schodach. Ktoś pstryka zdjęcie. Mamy je do dzisiaj, bezcenną pamiątkę. Potrafię wymienić bez zastanowienia – na samej górze, na najwyższym stopniu, od lewej.

Profesor Kazimierz Przybyłowski, obrońca Lwowa i żołnierz na wojnie bolszewickiej, jeden z najwybitniejszych polskich cywilistów. Obok ówczesny dziekan Kazimierz Buchała, karnista, uczeń Władysława Woltera, który był już wtedy na emeryturze. Następnie Franciszek Studnicki, legenda, a koło niego wspomniany, życzliwy studentom, zwłaszcza w marcu 1968 roku, prodziekana profesor Józef Skąpski. Dalej na prawo wyłania się twarz profesora Wojciecha Marii Bartla i nieco skrzywione oblicze profesora Jana Gwiazdomorskiego, wielkiego autorytetu, ofiary *Sonderaktion*. I jeszcze jedna twarz, najmniej widoczna. To profesor Adam Vetulani, bohater obu wojen światowych, wybitny historyk i kanonista. A w środku grupy profesor, wtedy docent, Andrzej Miączyński, żołnierz AK. Jedyne procesualista na tej fotografii; dodam śmiało i z patosem – procesualista cywilny. Nie wiedziałem wtedy i wiedzieć nie mogłem, że właśnie jego domena, proces cywilny, wypełni moje prawnicze życie.

Mieliśmy więc, studenci, ogromne szczęście. Zdążyliśmy jeszcze dotknąć „na żywo” wielkiej, przedwojennej nauki prawa. I niemal wszyscy czynni jej przedstawiciele zjawili się na naszym pożegnaniu. Niektórzy byli już na emeryturze, niektórzy nie cieszyli się pełnią zdrowia, ale stanęli obok nas. Stary, przedwojenny sznyt, stary przedwojenny akademicki etos! Na pewno coś ważnego udaremniło obecność profesora Stefana Grzybowskiego oraz profesora Władysława Siedleckiego, który rok wcześniej, bez objawianej demonstracyjnie satysfakcji, zaginął mnie na egzaminie z procesu cywilnego, choć grubo przesadzone są pogłoski, jakobym na pytanie o legitymację czynną z ulgą okazał swoją legitymację studentką. Dzisiaj wszystkim Im oddaję cześć i hołubię pamięć o Nich.

Szanowni Państwo! Poczucie pokory oraz cichość rozumu nie pozwalają mi na rozwinięcie tutaj jakiegoś, często towarzyszącego takim uroczystościom, monograficznego wykładu naukowego, co – gdybym mimo niedostatku *veniam legendi* ośmielił się uczynić – nie byłoby przecież ceremonialnym zgrzytem. Znam jednak swoje miejsce, ograniczę się zatem tylko do dalekich od naukowych formalności refleksji na temat, który wszystkich nas prawników, a zwłaszcza sędziów – kolejny raz powtarzam: **sędziów** – od kilku lat zniewala stęchłą już aktualnością oraz ustrojowym chrzęstem.

Mam na myśli temat tzw. neo-sędziów, a więc oficjeli, którzy, odwracając wzrok od Konstytucji oraz tłamsząc w sobie naturalne odruchy prawości, a niekiedy zmywając z oblicza ślady nieskazitelności charakteru, pomazani następnie przez demiurga olejkim nardowym, a może „narodowym” – sam już nie wiem, po szczegóły odsyłam do Ewangelii według świętego Jana – zasiedli za sędziowskim stołem i poczęli, zbywając lekceważąco gniewne spojrzenie wiszącego nad nimi orła, wydawać wyroki w imieniu Rzeczypospolitej.

Nawiasem mówiąc, samo określenie „neo-sędziowie” – choć nośne medialnie i wygodne artykułacyjnie – jest wyjątkowo nietrafne, sugeruje bowiem, że w ogóle chodzi o sędziów, a na dodatek o jakichś „nowych” sędziów, tymczasem w ujęciu ustrojowym, konstytucyjnym,

sędziami nie są i wszelkie semiotyczne oraz semantyczne sztuczki, prawnicze czary i zaklęcia tego nie zmieniają. Zasada wyłączonego środka jest w tym wypadku bezlitosna. Sędzia albo niesędzia – innego wyjścia nie ma – *principium tertii exclusi*. Ontologiczna nieobecność. Do pospolitych, powszechnie znanych przykładów działania zasady wyłączonego środka nie będę się odwoływał, bo zabrziałoby to dzisiaj, tutaj, zbyt trywialnie.

Otóż proszę państwa, problem sędziów-niesędziów nie jest w polskim sądownictwie nowy. Ciągnie się przez wieki, bo już w średniowieczu pojawiali się fałszywi sędziowie – *falsi iudices* – podobnie zresztą jak fałszywi pełnomocnicy i prawnicy. Byli to albo zwykli oszuści, osoby skorumpowane, sędziowie-samozwańcy, o niepewnym statusie, udający sędziów książęcych lub królewskich, albo wprawdzie „formalnie” sędziowie, ale niemający do tego podstawy moralnej. Zjawisko to dotyczyło także sędziów wybieranych podczas sejmików ziemskich, zwłaszcza – niepewnych co do swojej mocy – zrywanych lub „kradzionych”, jak też nie omijało sędziów orzekających na podstawie prawa miejskiego. Jak pisał Bartłomiej Groicki, nie mógł zostać sędzią, a jeżeli nim został, był *iudice falso*, ten na przykład, kto był „klęty, odszczepieńcem wiary chrześcijańskiej, Żydem bezecnym albo nie z małżeństwa narodzonym”.

W wieku XVI, po ugruntowaniu pisemności postępowania sądowego, weszły do obiegu dokumenty urzędowe sygnowane przez sędziów, sporządzane w języku łacińskim, które tradycyjnie rozpoczynały się od wzniesłego zawołania „Sicut iudex...etc., etc.” „Jako sędzia...itd., itd.” Niejednoznaczność zaimka *sicut* – znaczącego w zależności od kontekstu oraz intencji mówcy „jako” albo „jak”, a w niektórych kontekstach „podobnie jak” – spowodowała pojawienie się w stosunku do sędziów bez społecznego posłuchu, o wadliwym lub wątpliwym, nieuznawanym statusie, prześmiewczego, lekko pogardliwego określenia *sicut iudex* – „jak sędzia, podobnie jak sędzia”. W ten sposób w obiegu zagościło pojęcie „jak sędzia”, „niby-sędzia”, za takiego się podający, ale nie sędzia, niebędący sędzią.

Szczególne zasługi w ignorowaniu „jak sędziów” miała naznaczona piętnem cezarystycznych tęsknot i dążeń szlachta, zwłaszcza że ówczesny wymiar sprawiedliwości, odznaczający się zjawiskową nefachowością, w zasadzie pozbawiony był kontroli państwa. Jędrzej Kitowicz, wyliczywszy wiele wad ówczesnego sądownictwa, od analfabetyzmu sędziów po ich służalczość „panu swojemu”, nie bez przyczyny pytał: „A stąd czyliż dziwić się można, że dzisiaj tylu spodlonych, sprzedajnych, drapieżnych i niehumanitarnych widzimy deputatów, kommisarzów, sędziów i podsędków?!”. Jestem więc przekonany, że strażnik wielki koronny Samuel Łaszczyński, podbijający wydanymi przeciwko niemu kondemnatkami poły swej sięgającej kostek deliji – zwanej przez Sienkiewicza kierejką – jedną z pół podbił kondemnatkami, które wydali *sicuti iudices*.

A potem przyszedł czas zaborów, czas obcego sądownictwa. Tylko tutaj, na terenie Galicji, przez wiele lat funkcjonowało sądownictwo polskie, bo choć stosowano prawo austriackie, to po obu stronach sędziowskiego stołu pojawiali się Polacy i mówiono po polsku. Sędziów powoływał cesarz, często delegując swoją kompetencję na ministra, co ułatwiało przedstawianie się na sądowe sale sędziów fałszywych, niekompetentnych, niemających podstawowych uprawnień moralnych. Pisał o tym np. Józef Wawel-Louis, piewca Galicji i historyk galicyjskiego sądownictwa. Dawał przykład niejakiego Adalberta Rebensbergera *vel* Winogórskiego, który udawał sędziego. Z kolei na początku XX wieku prasa krakowska

donosiła o sędzim doktorze Jarosławie Połubińskim, orzekającym w apelacji lwowskiej, który okazał się szewcem z Krakowa, noszącym nazwisko Partyka, mającym za sobą tylko sześć klas. W cechu szewskim intruz uznany byłby za przeszkodnika, a w cechu sędziów? Czy aby nie tak samo?

W sądach galicyjskich i na Górnym Śląsku funkcjonowała także kategoria sędziów zwanych „streberami”. Byli to karierowicze i oportuniści, akceptujący każdą formę uległości politycznej w celu uzyskania jak najszybszego, bardzo zresztą opłacalnego awansu. Status formalny sędziów „streberów” nie był kwestionowany, byli oni jednak – oraz ich orzeczenia – powszechnie ignorowani zarówno w środowisku prawniczym, jak i wśród galicyjskiej inteligencji. Sędzia „streber” – zapomnieliśmy już o tym – stał się w polskiej kulturze archetypem sędziego miernego, skrajnie ambitnego, dążącego do kariery za wszelką cenę, często kosztem zasad etycznych.

Z kolei u Eugeniusza Waśkowskiego znajdujemy wzmianki o praktykach uprawianych w zaborze rosyjskim. W nieprzewidzianym prawem sposób powoływano tam licznych „sędziów pełniących obowiązki”, by w ten sposób obejść zasadę nieusuwalności. Nazywano ich – i tak nazywał ich Waśkowski – sędziami-niesędziami. Oczywiście wielkim problemem w Rosji było także, wynikające z powszechnej korupcji, powoływanie sędziów niemających podstawowych kwalifikacji prawniczych i moralnych.

Interesujący przykład sędziów „wątpliwych” – niekonstytucyjnych w sensie ścisłym – znajdujemy w dziejach Wolnego Miasta Krakowa. Wbrew wyraźnym postanowieniom Konstytucji z 1815 roku, gwarantującym powoływanie sędziów przez Zgromadzenie Reprezentantów, wszystkie stanowiska sędziowskie obsadziła Komisja Organizacyjna, koncesjonowany przez zaborców organ władzy wykonawczej, niemający takich kompetencji. Ten niekonstytucyjny stan trwał ponad 20 lat. Podobne zjawisko wystąpiło w wyniku ustanowienia w 1839 roku prawa o sądownictwie karzącym, na podstawie którego – jak pisał wspomniany Wawel-Louis – „zepchnięto mężów z krzesła sędziowskich, a posadzono na nich komisarzy policyi”, wśród których był osławiony Guth, komisarz cyrkularny z Podgórza, „podły służalec”, jak o nim pisano w innym miejscu.

Problem sędziów narodził się i nabrzmiał w Polsce po uzyskaniu niepodległości. W jednoczącym się i szukającym swojego kształtu sądownictwie było wielu sędziów o niejasnym statusie urzędowym, sędziów niepewnych, zgoda obcych, także narodowo, lojalnych wobec zaborcy, właśnie owych „streberów”. Szukano sposobu na rozwiązanie tego problemu, co było szczególnie trudne w obliczu braku sędziów polskich, działali oni bowiem wyłącznie w Galicji. W czasie przejmowania sądownictwa w Polsce i jego organizacji wprowadzono – na czas unormowania niektórych kwestii ustrojowych – pojęcie „sędziego z zastrzeżeniem” oraz „sędziego nieuprawnionego do wydawania wyroków”, wzorując się zapewne na austriackich sędziach niesamoistnych (pomocniczych), zwanych sędziami „latającymi” lub niby-sędziami, niemających pełnej mocy jurysdykcyjnej.

W pracach Komisji Kodyfikacyjnej problematyka sędziów „wątpliwych”, rozważana początkowo w ramach instytucji wyłączenia sędziego, przeszła do przepisów przechodnich, znajdując finał w ostatniej fazie prac nad prawem o ustroju sądów powszechnych.

Warto zatrzymać się nad tym etapem kształtowania polskiego ustroju sądów, bo właśnie wtedy – był rok 1926, po przewrocie majowym i po odebraniu Komisji Kodyfikacyjnej

przez rząd projektów ustaw – do gry wszedł Stanisław Car, ojciec polskiej koncepcji autorytaryzmu, niewyżyty adwokat i niespełniony sędzia, wiceminister i minister sprawiedliwości, później także wicemarszałek i marszałek Sejmu, współtwórca Konstytucji kwietniowej. Wielki nieprzyjaciel sędziów i sądów, powtarzający często myśl jednego ze swoich ideowych mentorów, że największą pomyłką myśli oświeceniowej było wprowadzenie trójpodziału władz.

To właśnie Stanisław Car wstrzyknął do krwiobiegu rodzącego się po latach niewoli ustroju sądów – zdrowego, na owe czasy nowoczesnego, opartego na pryncypiach Konstytucji marcowej – truciznę autorytaryzmu. I ta trucizna, zasilona w okresie stalinizmu ciałkami totalitaryzmu, już na szczęście odcedzonymi po przełomie politycznym lat 80. i 90. ubiegłego wieku, stale daje o sobie znaki. Dała o sobie znać w ostatnich latach.

No więc Stanisław Car, mający wtedy, w roku 1928, pełną swobodę i moc formowania prawa, wprowadził do Prawa o ustroju sądów powszechnych art. 284, zawieszający na dwa lata ustanowioną w Konstytucji marcowej zasadę nieusuwalności, pozwalający ministrowi sprawiedliwości oczyścić wymiar sprawiedliwości z sędziów niepewnych ustrojowo, o wątpliwym statusie, a zwłaszcza narodowo obcych. Inicjatywa Cara, w rzeczywistości motywowana politycznie i kierowana przeciwko obrońcom demokracji, wywoływała głosy krytyczne, jednak udawane „szlachetne” intencje projektodawcy uspokoiły krytyków.

Po ustaniu działania tego przepisu sędziowie ustrojowo niepewni, o wadliwej podstawie powołania, sędziowie „z zastrzeżeniem”, niesędziowie, podlegali już wyłącznie przepisowi art. 77, który upoważniał Sąd Najwyższy do unieważnienia – na wniosek prokuratora – każdego orzeczenia wydanego przez sąd, w którego składzie uczestniczyła *verba legis* „osoba nieuprawniona do wydawania wyroków”, przez którą rozumiano osobę o wadliwym statusie powołania, niemającą takiego statusu lub niedysponującą *votum*. Przepis ten obowiązywał do roku 1950 i został uchylony wraz z wprowadzeniem stalinowskiej rewizji nadzwyczajnej, pozwalającej na uchylanie niemal każdego orzeczenia z jakiegokolwiek, także ustrojowej przyczyny. Poza tym wprowadzono wtedy narzędzia umożliwiające usunięcie sędziego z powodu niedawania wiadomej ręką. Przepis podobny do art. 77, w formie nieco zawężonej znaczeniowo, przeniknął także do Kodeksu postępowania karnego.

Nielatwy do oceny sędziowskiego losu jest okres okupacji niemieckiej, tutaj, w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, w którym – oprócz sądów okupacyjnych, niemieckich, orzekających we wszystkich sprawach karnych – działały sądy polskie, nazywane także, niekiedy zamiennie, sądami nieniemieckimi. Niepodobna w tym wypadku czynić jakichkolwiek odniesień, i ja ich oczywiście nie czynię, starając się wywieść jedynie odizolowany od kontekstu wniosek systemowy. Sędziowie tych sądów, powołani na swe urzędy na podstawie przedwojennego Prawa o ustroju sądów powszechnych, orzekali „w imieniu Prawa”, którym zasadniczo było prawo polskie, w togach i biletach, ale bez orła na ścianie i bez łańcucha na szyi, za to z krzyżykiem pod boki, byli jednak certyfikowani i kontrolowani przez okupanta, musieli bowiem podpisywać deklarację posłuszeństwa. Ich status w okresie okupacji oraz skuteczność wydawanych orzeczeń budziły więc uzasadnione, bardzo poważne zastrzeżenia ustrojowe, jurysdykcyjne i moralne. Nie wnikając w szczegóły oraz pomijając oceny etyczne, trzeba podkreślić, że tuż po odzyskaniu niepodległości, na podstawie dekretu Rady Ministrów z 6 czerwca 1945 roku, wszystkie wydane przez nich

orzeczenia, z niewielkimi wyjątkami, zostały „uznane za ważne”. Krótko mówiąc, prawodawca, w drodze wyraźnego, łaskawego werdyktu normatywnego, przesądził ze skutkiem wstecznym ważność tych orzeczeń, i nie wnikać teraz w to, choć analiza naukowa mogłaby być bardzo ciekawa, czy werdykt ten miał charakter deklaratoryjny, czy konstytutywny, a więc czy był aktem swoistej procesowej konwalidacji orzeczeń wydanych przez sędziów „wątpliwych”, czy też aktem konwalescencyjnym, nadającym walor prawny zdarzeniom, które takiego waloru ze względów podmiotowych nigdy nie miały, a więc były w sensie procesowym i ustrojowym orzeczeniami nieistniejącymi.

Problem sędziów orzekających w czasie okupacji i składających deklarację posłuszeństwa okupantowi został rozwiązany indywidualnie, wiadomo jak, obok innych problemów kadrowych sądownictwa, w ramach dokonywanej budowy tzw. nowego wymiaru sprawiedliwości. Różne stosowano metody, jednak końca sędziów ustrojowo wadliwych lub niepewnych nie było. Jedni znikali, inni się pojawiali. Widać muszą być w polskim sądownictwie stale. Na przykład w latach 50. pojawili się w Sądzie Najwyższym sędziowie, których nauka określa mianem sędziów „nierzeczywistych” – przeciwstawianych „rzeczywistym” – powoływanych na podstawie „zużytego” już wtedy, ale stosowanego „nowatorsko” dekretu Rady Ministrów z 14 maja 1946 roku, a więc z pominięciem warunków i zasad określonych w Prawie o ustroju sądów powszechnych z 1928 roku. Zostali oni definitywnie usunięci dopiero w wyniku weryfikacji przeprowadzonej po wejściu w życie ustawy o Sądzie Najwyższym z 1962 roku.

No i nadeszły rok 2015 i lata następne. Najpierw był zaplanowany, zaprojektowany w szczegółach, starannie plasowany zamach na Konstytucję. Zdewastowano Trybunał Konstytucyjny, potem doszło do brutalnego obalenia Krajowej Rady Sądownictwa, a następnie do sukcesywnego „instalowania” w wymiarze sprawiedliwości sędziów obciążonych newralgicznym, krytycznym defektem ustrojowym. W ten sposób pojawili się w sądach wspomniani „neo-sędziowie”, sędziowie „nierzeczywiści”, niesędziowie, niedysponujący legitymacją konstytucyjną, a więc pozbawieni zdolności jurysdykcyjnej i niezdadni do tworzenia sądu, o którym mowa w art. 45 Konstytucji, diagnozowani także niekiedy adekwatnie do ich charakteru i genetycznej skazy jako sędziowie „ustawowi”.

Trucizna wszczepiona przez Stanisława Cara, skondensowana w czasach PRL-u, znowu się uaktywniła. Najwyższy czas z tym skończyć. Z niepokojem przyglądam się podejmowanym próbom tzw. przywrócenia praworządności i nie jestem pewny ich skutków. Nie będę wchodził w szczegóły, ale planowana metoda rozwiązania „kwestii neo-sędziów”, niedopasowana do natury zamachu konstytucyjnego, jaki się w Polsce dokonał, nie wróży ustrojowego sukcesu.

Trzeba pamiętać, że w sytuacji nadzwyczajnej, nietypowej, konieczne jest działanie nadzwyczajne, nietypowe, a dotyczy zwłaszcza drastycznych naruszeń Konstytucji, która nie normuje „zamachów na samą siebie”, zaplanowanych, skoordynowanych i mających jasno określony cel. Rozwiązań naprawczych trzeba zatem szukać w sposób niekonwencjonalny, w samym duchu Konstytucji, w jej właściwościach autopojetycznych – tkwiących w preambule oraz w art. 2, 8, 10, 173 i 187 – a może i, jeżeli to nie wystarczy, w Radbruchowej, zaadaptowanej do współczesności i kontekstu, „naturze rzeczy” albo w „abstrakcyjnej podstawie prawnej” Dworkina, wypatrując rozwiązań niebanalnych i najbardziej skutecznych,

nawet takich, które w sytuacji „normalnej” trudne byłby do zaakceptowania. *Ex iniuria ius non oritur*. Ze zła dobro nie powstanie, z bezprawia nie powstanie prawo.

Alarmuję! Jużemy to w sądach w ostatnich dziesięcioleciach nie raz przerabiali. Najpierw sędziowie „przymusowi” – byli tacy, nie wspominałem o nich – potem sędziowie „po Duraczu”, „po kursach w Józefowie”, sędziowie bez studiów, bez tytułu magistra, bez aplikacji, sędziowie „nierzeczywiści”... Władza sądownicza w Polsce zawsze była skażona, a podziały w jej wnętrzu trwały latami i zawsze było nie w porę albo już za późno, żeby je usunąć. I zawsze zostawało jakieś trujące dziedzictwo. Przerabiała to także adwokatura, której władza poprzedniego systemu raz po raz „wrzucała” do korpusu rozmaitych „neo-adwokatów”, np. byłych, najbardziej skompromitowanych w okresie stalinizmu sędziów i prokuratorów wojskowych oraz inne obce ciała. Akademikom przypominam uprzejmie tzw. marcowych docentów...

Legalizowanie, swoiste zagłaskiwanie bezprawia – czym może grozić nazbyt łagodny sposób podejścia do kryzysu konstytucyjnego w sądach – stanie się zarazem dowodem słabości Konstytucji oraz znakiem bezsilności politycznej, prawodawczej, naukowej. Trudno to aprobować również dlatego, że droga do łamania Konstytucji w przyszłości, do skutecznego i trwałego podmywania zasad ustroju pozostanie otwarta. Pojawią się kolejni neo-sędziowie? I kolejni? I co? Znowu latami będziemy się z nimi porać?

Vestigia terrent! Nie stąpajmy po śladach, które odstraszą, bo nigdy z tego nie wyjdziemy. I pamiętajmy, nade wszystko liczy się czas.

Życzę powodzenia. Chcę wierzyć, że środowisko, rząd, parlament znajdą receptę na odtrutkę, która skutecznie unicestwi albo zneutralizuje carowską toksynę, wzmocnioną w ostatnich latach patogenną dawką mikstury rektyfikowanej w fiolce z oszukańczą etykietką „Bona mutatio”.

Tak czy inaczej, przed nami wielkie zmiany. Sądy muszą stanąć na nogi. Wiele zawłaszczonych sędziowskich gabinetów opustoszeje – oby jak najszybciej – i trzeba będzie je zapłacić. Najważniejszy jest Sąd Najwyższy. Jego restytucja jest najpilniejsza. Po latach dewastacji trzeba go zbudować niemal od nowa, dodając prawdziwym sędziom, stojącym przez ostatnie kilka lat na straży wartości i etosu najwyższej instancji, zacnych, godnych partnerów. Po oczyszczeniu przedpola nie wahajcie się, stawajcie do konkursów, Rzeczpospolita czeka na was.

Nie wzorujcie się więc raczej na przykładzie, który za chwilę przedstawię, a który pozwala mi, w tonie nieco lżejszym, powrócić w krakowskie, uniwersyteckie przestrzenie oraz procesowe klimaty.

Był czas w wieku XIX, kiedy sądy krakowskie stosowały prawo francuskie i – choć trudno w to uwierzyć – podlegały sądowi najwyższemu w Warszawie, Sądowi Kasacyjnemu Księstwa Warszawskiego, do którego – jako pole kresowe – przynależała także część ziemi krakowskiej. Twórcą i konstruktorem tego Sądu był minister sprawiedliwości w Komisji Rządzącej Feliks Łubieński, który zaproponował miejsce u swego boku Walentemu Litwińskiemu, profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, dziekanowi wydziału prawa, później także rektorowi. Walenty Litwiński jest ważną postacią w mojej opowieści, był bowiem twórcą i pierwszym kierownikiem Katedry Procedury Cywilnej i Praw Galicyjskich utworzonej w 1802 roku. Można zatem rzec, że był fundatorem nauki prawa procesowego cywilnego

w Akademii Krakowskiej, poprzednikiem wielkiego Franciszka Ksawerego Fiericha, twórcy nowoczesnego, polskiego procesu cywilnego. Miał też wiele innych zasług; był prokuratorem królewskim, dożywotnim sędzią Sądu Apelacyjnego w Krakowie i współzałożycielem oraz pierwszym prezesem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, przekształconego pod koniec wieku w Akademię Umiejętności, poprzedniczkę Polskiej Akademii Umiejętności. Kłaniam się profesorom – Szczepanowi Bilińskiemu, sekretarzowi generalnemu Polskiej Akademii Umiejętności, oraz Andrzejowi Mączyńskiemu i Markowi Safjanowi – wiceprezom. Dziękuję, że zaszczylili Panowie moją dzisiaj uroczystość.

I co zrobił Litwiński? Otóż Walenty Litwiński, zaproszony przez Łubieńskiego do Sądu Kasacyjnego, podpisał mu tak:

„Jaśnie Wielmożny Panie!

Gdy Jaśnie Wielmożny Pan, zaszczyciwszy mnie niedawno swem zaufaniem przez powołanie na ważny urząd Prokuratora Królewskiego przy Trybunale Departamentu Krakowskiego, na którym w tak krótkim czasie nie miałem jeszcze sposobności okazać mojej gorliwości, już mnie na wysoki urząd przy swym boku wzywa, dowód ten najszczególniejszej łaski i uwagi jak najwyższą mnie całego przejmując wdzięcznością. Lecz gdy Jaśnie Wielmożny Pan nie tylko łaskawie mi pozwala, ale owszem zaleca, ażeby z otwartością oświadczyć, czyli mogę się z Krakowa oddalić lub nie, a przeto wskutku tego pozwolenia mam honor Jaśnie Wielmożnemu Panu przedstawić okoliczności, które mnie do Krakowa przywiązują.

...Mój Boże, jakie to krakowskie...

1. Mam pod Krakowem wioskę, która mój dom w potrzeby opatruje, i która, gdy ją w stanie spustoszonego kupiłem, dla zaprowadzenia gospodarstwa i budowli baczości właścicieli wymaga.
2. Przy urzędzie Prokuratora jestem tu oraz profesorem postępowania i praktyki sądowej przewodniczącym Wydziału i patronem praktyki sądowej, z którą katedrą jest pensja 4800 złp. złączona.
3. Będąc już lat 10 profesorem prawa w Akademii, zbliżam się do otrzymania w latach sześciu emerytury, której profesorowie Akademii Krakowskiej i za zeszłego rządu używali i teraz używają, I na koniec:
4. Jako tu zamieszkały i osiadły mam tu związki familii i interesa niektóre, których załatwienia, tu na miejscu będąc, mam większą łatwość.

Te są okoliczności, które mnie do Krakowa wiążą, a których ocenienie, czyli są ważne lub nie, Jaśnie Wielmożnemu Panu oddaję.

Łącząc najgłębsze uszanowanie, jestem Jaśnie Wielmożnego Pana Prezesa najniższym sługą

Litwiński, Kraków, 2 września 1810 r.”

Bardzo dobrze rozumiem Walentego Litwińskiego, choć w 1990 roku sam, słany z Krakowa do Warszawy, do Sądu Najwyższego, dość łatwo się poddałem, najpewniej głównie dlatego, że żadnej, nawet spustoszonej wioski w okolicy nie miałem. I do dziś nie mam. Nawiasem mówiąc, Litwiński sędzią Sądu Kasacyjnego nie został, gdyż zapewne jego „interesa niektóre” znalazły u Łubieńskiego pełne zrozumienie.

Na koniec rzucam jeszcze jedno spojrzenie wstecz, tym razem na swoją sędziowską misję.

Zostawałem sędzią, sędzią-cywilistą, bo wiedziałem, a raczej wtedy tylko czułem, że prawo, nawet najlepsze, niczego obywatelowi nie da, nie zapewni, jeżeli między nim a tym prawem nie stanie ktoś mądry, przyzwoity, w granicach bezstronności życzliwy i przyjazny, ktoś, kto to prawo zamieni w indywidualny i społeczny pożytek. Tak widziałem swoją sędziowską misję i dopóki orzekałem w sądach powszechnych – w Bochni, Tarnowie i Krakowie – dopóty podstawowym celem tej misji było poszukiwanie i osiąganie zgody między spierającymi się stronami. Wydałem dziesiątki tysięcy rozmaitych orzeczeń, w sprawach ważnych i mniej ważnych, ale – przed przejściem do Sądu Najwyższego, bo tam było to już procesowo niedopuszczalne – doprowadziłem też do zawarcia setek ugód. I one przynosiły największą satysfakcję. W tym znajdowałem i potwierdzałem sens sędziowskiego posłannictwa. I paradoksalnie ten sens dzisiaj dojrzewa i rośnie.

Oto świat po raz kolejny znalazł się w okresie przełomu, na granicy dwóch epok. Widzimy i czujemy to. Obawiamy się. Dotyczy to także prawa, w tym prawa procesowego. Wszystko się pokomplikowało – czeźnie rozum, również ten pisany wielką literą, a prawda, opoka procesu, jest spychana na margines; stała się rodzajem fałszu lub błędu, a prawd jest tyle, ile osób się przy nich upiera albo ile się na nie umówiło. Wszyscy mają rację, wszystko można narzucić odpowiednią narracją albo uwiarygodnić sztuczną ćwierćinteligencją. Procesy sądowe zamieniają się w gry losowe, a wyroki okazują się tylko „punktami widzenia”. Prawo się deprawuje, mrą kodeksy, słowa nie znaczą tego, co znaczą, upada legislacja, wał się systemy, ledwo zipie pozytywizm prawniczy, w sądach rozpychają się tolerowani łaskawie sądowi przeszkodnicy. Po stu latach przychodzi zatem z jeszcze większą siłą niż wtedy, gdy świat także stawał na granicy dwu epok, zakrzyczeć słowami noblisty Wiliama Butlera Yeatsa:

„Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem, (...)
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywczą moc.”
(tłum. Stanisław Barańczak)

Co nam pozostaje? Co pozostaje nam, prawnikom, sędziom? Może właśnie ugoda, mediacja, arbitraż, postawy i zachowania pokojowe czy zgoda ireniczne staną się receptą na ten trudny czas? Może one pozwolą także nam pozostać w tym wirującym „środku”? Odzyskać go. Upowszechniajmy te postawy. Edukujmy społeczeństwo. Namawiajmy do zgody, gódźmy, ograniczajmy pola konfliktu... No i przywracajmy wiarę w rozum, w mądrość, w człowieka. Szukajmy autorytetów i znajdujmy je, bo są...

Na koniec przypomnę słowa Stanisława Gołąba, wybitnego procesualisty cywilnego i ustrojowca, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w 1929 roku podczas akademii ku czci Franciszka Ksawerego Fiericha, zmarłego rok wcześniej w Warszawie, podczas obrad Komisji Kodyfikacyjnej, powiedział o nim:

„Kiedy proces cywilny pojmuje się jako uregulowany prawnie stadion ścierania się antagonizmów ludzkich, śp. Fierich podkreślał zawsze silnie dążność do ugodowego załatwienia sprawy, kładł nacisk

na skłanianie stron do pojednania, wiążąc z udaremieniem ugody poważne skutki prawne. Ten ugodowy duch (...) polskiej procedury rzuca swe promienie na ideę, że proces, który jest walką, nie powinien być zjawiskiem normalnym w życiu prawnym, lecz przeciwnie, że człowiek powinien porozumiewać się z człowiekiem przede wszystkim na drodze zgody i pokoju”.

Święte słowa!

Rozgłaszam je także dlatego, że zostały wypowiedziane tu, w Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim, w katedrze prawa procesowego cywilnego, przez ojca polskiej procesualistyki, i były powtarzane przez jego uczniów i następców. Przyłączam się do tych słów, bo – mam takie wrażenie – całe życie dreptałem drobnym kroczkiem po ich śladach. No a poza tym chciałbym znów widzieć krakowski proces cywilny na wyżynach nauki.

Szanowny Uniwersytecie! Nauk przemożnych perło! Orzeźwiające źródło nauk, z którego czerpią wszyscy naukami napoić się pragnący! Jeszcze raz z całego serca ci dziękuję. Także przybyłym Gościom, których liczba onieśmiela mnie równie mocno, jak nadany mi dzisiaj tytuł doktora *honoris causa*. Składam solenną obietnicę, że stawszy się członkiem społeczności akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, będę zawsze czynił dobro na jego rzecz i działał z myślą, że jest przybytkiem rozumu i czystej nauki, dążącym do osiągnięcia prawdy.

Vivat Academia, vivant Professores, vivat Alma Mater Jagiellonica!

Abstract

***Speech by Judge Jacek Gudowski, doctor of law honoris causa
of the Jagiellonian University on 20 March 2025 in the auditorium
of Collegium Novum of the Jagiellonian University***

The Jagiellonian University in Kraków officially conferred an honorary doctorate from this oldest university in Poland on Jacek Gudowski, a retired judge of the Supreme Court and long-term member of the Editorial Board of ‘Court Review’, on 20 March 2025. The resolution of the Senate of the Jagiellonian University emphasized that the honorary doctorate was awarded to Jacek Gudowski in particular for his creative and original contribution to the study of law, civil procedure and the case law of the Supreme Court, as well as for building the authority of this court and confidence in the justice system.